PRZEGLĄD NAUKOWY.

Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie.
Młodości! orla twych lotów potęga,
Á jako piorun twe ramie!

PRZEGLĄD NAUKOWY

POŚWIĘCONY

DZIEJOM, FILOZOFII, LITERATURZE, SZTUKOM PIĘKNYM i t. d.

TOM III.

WYDAWCA I REDAKTOR HIPPOLIT SKIMBOROWICZ.

Ogólnego Zbioru T. XXVII.

WARSZAWA.

NAKŁADEM REDAKTORA.

W DRUKARNI JANA JAWORSKIEGO.

1848.

Za pozwoleniem Cenzury rządowéj.

Rok siódmy. 10 Lipca 1848 r. Nr. 19

Wydawca i Redaktor Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Spis przedmiotów: Rozbiór powieści Adama Amilkara Kosińskiego przez Prof. Juliana Bartoszewicza.—Ogólny przegląd Estetyki Hegla przez Professora Feliksa Jezierskiego.—Nowiny.

ROZBIÓR POWIEŚCI

A. A. Kosińskiego.

Jednym z najczynniejszych autorów, co pracują na polu powieści historycznéj w Warszawie, jest bezwątpienia p. Adam Amilkar Kosiński. Nadrukował już wiele,—napisał jeszcze więcéj,—a zapewne bezporównania jeszcze więcéj i nadrukuje i napisze powieści—i rzuci je potém na świat pod rozmaitemi nazwiskami, w bardzo różnych sukienkach, z dziwnemi, starannie wyszukanemi tytułami,—a to wszystko dla pociechy, dla rozrywki naszéj, żebyśmy czytali i rozpływali się, widząc wskrzeszone jego słowem postaci naddziadów naszych. Piękny cel zaiste, chwalebny zamiar! Ale co piękniejsze jeszcze, co więcéj jeszcze zdumiewa i mimowolnie skłania czytelników na stronę pana Kos. to ta cudowna autora w sobie samym pewność, to owo słodkie jego przeko-

nanie wewnętrzne, które chciałby każdemu narzucić, że pracuje sumiennie, że powieści jego mają zasługę, że w nich czysta wartość historyczna. Nam dziwno jednak, kiedy zastanowimy się nad tém i pomyślimy, dla czego p. K. pisze tak często i tak wiele powieści polskich historycznych? — Dziwno powtarzamy, bo p. K. chciałby w nas wmówić, że ma *sumienie* historyczne — a my jednak temu niewierzym, i mamy widoczne powody nie wierzyć.

Żeby napisać dobrą powieść historyczną, coby odbijała wiernie ducha czasu, którego ma być obrazem, potrzeba do tego bardzo wiele nauki, bardzo wiele poetycznego talentu i bardzo wiele twórczości. Myśl tę staraliśmy się gdzieindziéj rozwinąć. Myśl to nie nowa. (*) Powieści historycznéj nie napisze nikt, kto zna powierzchownie sto, tysiąc, miljon wypadków pewnéj epoki, pewnego miejsca. Dla powieści historycznéj nie dosyć znać wypadki, potrzeba jeszcze znać serce czasu i tajemnice tego serca. A mówiąc o sercu, nie mamy tutaj wyłącznie na celu utrzymywać, że potrzeba znać naturę ludzką. Naturę ludzką znać musi każdy, kto chce dobrze pisać, doktor, filozof, naturalista, historyk, poeta. Kto nie zna natury ludzkiéj, ten niewiele widzi na tym świecie,—kto nie zna ludzi, ten nie żyje, bo żyć nie umie, ten wielu rzeczy sobie nie wytłumaczy, rzeczy prostych i jasnych. Kto nie zna ludzi, dziwi się nieraz temu, co właśnie piękne jest i jasne, bo okazałe jak słońce. Kiedy mówimy: potrzeba znać serce, nie myślimy tutaj o niczém inném jak tylko o sercu. I to serce miało swoje dzieje: inaczéj czuło i biło pokryte pancerzem Łokietkowym, inaczéj za Jagiellonów, inaczéj w epoce Batorego albo Sobieskich. Uczony, erudyt znać może wiele, wiele wypadków dziejowych, a nie znać serca. W komnatach dawnych panów, wyłożonych makatami, w pośród hucznych dwor-

(*) Przypominamy Redaktorowi Gazety Warsz. nasz artykuł o *romansie historycznym polskim w Warszawie*, który u niego przeszło już rok cały spoczywa w tece.

(Przyp. Aut.)

ców, wspaniałych zamków, wydarzały się wypadki, które nie zawsze interessowały ogół narodu. A w tych wypadkach niepoślednią rolę grało serce. I nie mówim tutaj znowu o miłości dwojga serc młodych, ale mówimy o uczuciu rodzinném, o przywiązaniu do kraju, o wierze, o poszanowaniu dla praw ojczystych. To serce inaczéj kochało, inaczéj czuło w każdéj ubiegłej epoce, — w rożnych czasach, różnym przemawiało językiem, zdradzało się wcale innym rumieńcem. A stąd i zwyczaje, obyczaje i sposób życia, co chwila, co wiek, co godzina, były inne. Bo w życiu ciągły jest ruch, —i nietylko rok, jeden drugiemu, ale i dzień, jeden drugiemu, niepodobny. Żeby poznać tedy serce, które tak przeobraża wszystko i ciągle na około siebie — na to potrzeba twórczości. Poeta z jednego podania, z lekkiego napomknienia, z wypadku, potrafi wyłamać całość, odtworzyć przeszłość, pojąć wiek odległy. Ale inaczéj nie odgadnie tej przeszłości, jeżeli nie zna tysiąca wypadków oderwanych. Ztąd widzim, dla czego powieścio-pisarz historyczny nazywa się prorokiem przeszłości. Dziwne to zespolenie dwóch wyrazów, które zdaje się, nie dla siebie, a więc nigdy się z sobą spotkać nie powinny. A jednak zespolenie się to cudne, nad spodziw trafne. Przeszłość minęła, —zostały po niéj nam tylko księgi, a w księgach szkielet przeszłości, cień tylko tego, co było —i wszystko tam martwe, dzikie i bez życia. Kronika, to jak herbarz roślinny, w którym leżą zasuszone listki, li tylko dla nauki. Otóż tchnąć właśnie potrzeba życie, a rysy wieku odżyją, a obraz przeszłości wskrzesi się, powstanie z martwych. Trzeba więc odgadywać, przepowiadać przeszłość — tchnąć życie w przeszłość. A życiem może darzyć tylko uczony, co zna wypadki, uczony, jednak poeta twórczéj siły. On tylko może być prorokiem czasów minionych.

W naszym czasie, kiedy romans zagarnął sobie wyłączne panowanie w literaturze, kiedy romans jest potęgą, jest życiem, — i powieść historyczna więcéj nierównie jak przedtém nabyła znaczenia i powagi. Już nie jeden z nas spostrzegł to, że w naszym czasie, jedynie możebną epopeją, —może być tylko powieść historyczna. Ztąd niedziw jak wysokie stanowisko wiek nasz

naznacza téj powieści, tym cudnym obrazom z przeszłości, co mają nam odsłonić i w ułudnych przedstawić kolorach dawno ubiegłe życie. A ponieważ romans rozwinięty na wielką skalę jest dzieckiem ukochanem naszéj chwili, ponieważ stanowi wyłącznie prawie całą literaturę i pochłania w sobie wszystko, — ponieważ dla romansu wszystko jest dziś dostępnem; a w jego ramach wygodnie zmieścić się mogą i filozofia i historja i ekonomia i polityka i dzieje literatury, — z tego więc wypada, że dobry romans napisać, nie jest łatwo. Nieskończenie trudniéj napisać dobrą powieść historyczną, wystawić wierny rys z przeszłości. Użyjmy porównania. Jeżeli wybudować małą kapliczkę w gotyckim stylu, piękną i czarującą kształtami, tak żeby się wszystkim podobała, żeby artystycznemu uczuciu sprawiła zadość, jest trudno. — to trudniéj nierównie wystawić np. cały ogrom Kolońskiéj katedry, ten ogrom cudny, romantyczny, szlachetny, na który składały się wieki. Kapliczka — to powieść czasowa, nasza, obyczajowa; — katedra — to powieść historyczna lub socjalna.

I stąd kiedy się zastanawiamy nad trudnościami położenia, w jakiem zostaje każdy autor piszący jakąkolwiek bądź powieść, winszować musim z serca, jeżeli przełamał szczęśliwie te trudności. I ztąd, powtarzamy raz jeszcze, dziwno nam i bardzo dziwno, *dla czego*, p. Ad. Am. Kosiński pisze tak często i tak wiele powieści polskich historycznych? P. Kosiński nie zna wcale przeszłości narodu, powierzchownie tylko dotknął się dziejów polskich, gotowiśmy się nawet założyć, że wiele wypadków wielkiego znaczenia, pozostało dla niego do dziś dnia tajemnicą, bośmy spotykali w jego powieściach błędy grube, nie do przebaczenia, —a jednak p. K. ma pretensję, sądzi, że potrafi nam odbudować w obrazach dawną przeszłość. Mówić-że potem o zaznaniu tła dziejowego, utrzymywać że p. K. zna serce polskie, jak się rozwijało, jak rosło i mężniało w zapasach z otaczającemi okolicznościami, od czasów Piastowych, do czasów Sobieskich, Poniatowskiego? Autor *powieści staroszlacheckich*, *Przechadzek i Przejażdżek po kraju*, i t. d. nie ma żadnego wyobrażenia o tém tle dziejowem, o tém polskiem sercu. Nie wyuczył się faktów, choć fak-

tów wyuczyć się może sama tylko pamięć i chęć, nie koniecznie zdolność; faktów zaś mnóstwo spotkałby po tylu wydanych i ciągle wychodzących starych aktach, książkach, pamiętnikach, przywilejach; — niezna więc dziejów narodu, niezna formy, niezna powierzchowności, pod którą przejawiało się życie przodków naszych, — a jakże ma znać serce? jak domyśléć się, co myśleli przodkowie? dlaczego tak a nie inaczéj działali? kiedy domyślić się tego wszystkiego nie może pamięć, nie może chęć, a koniecznie i wyłącznie, zdolność? Z portretu, z rycerskiéj postawy starego wojaka, hetmana; zdolność, wyczyta myśl skrytą tego wojaka, lub hetmana i pozna serce; a p. K. umież czytać z portretów? Dla p. K. maż-że znaczenie ten mars na oczach, ta ręka na karabeli oparta, ten wąs sarmacki, co jest wdziękiem i groźbą razem, to wreszcie czoło dumne, co błyskawice rzuca, czoło zmarszczkami poorane, a mgłą smutku zasute? Tu nie ma żadnéj wątpliwości. My powiadamy otwarcie — że p. K. tego wszystkiego nierozumie i ani się domyśla. I czemuż pisze tyle powieści historycznych, gdzie fałsze nagromadzone na fałsze, gdzie czczość i wysłowienia i stylu, gdzie nie widać przeszłości, — powieści, w których owszem widać tylko ogromne pretensje i ogromną niezdolność? Pan K. nie ma żadnego historycznego, żadnego literackiego namaszczenia....

W jego powieściach uderza przedewszystkiem język dziwny jakiś i nadęty, przesada i pretensja wszędzie, czcza deklamacya. Proza odlana na miarę wierszy miarowych, wyrazy jednozgłoskowe dla effektu często-gęsto na końcu. W tém przyznajemy panu K. rzeczywistą zdolność. Chce język swój wyłamać w esy, floresy, chce go zgiąć, zastosować do jakiéjś przyjętéj raz dla swoich powieści formy, i dziwnie pięknie udaje się mu to wszystko! Ma to nadawać jakąś uroczystość opowiadaniu. Prawda tłumaczy się zawsze językiem prostym, zrozumiałym, naturalnym. W *Zemście panny Urszuli* naginał tak swój język Magnuszewski i błądził; w takiež same zwroty stroi go we wszystkich utworach swoich Michał C. ale i u Magnuszewskiego i u M. C. jest

poezja wysłowienia, są obrazy wielkiéj wartości, choć niehistoryczne zupełnie. W p. K. my tego sadzenia się na język nienaturalny niepojmujemy, bo poetycznego obrazu nie w siłach stworzyć autorowi *powieści Staroszlacheckich.* I po cóż ta oryginalność? Czy dla tego żeby w saméj rzeczy być oryginalnym i jeżeli niczem innem, to tém przynajmniéj zwracać na siebie uwagę?

Taki dziwny i łamany, taki nienaturalny i uroczysty język, jaki zawsze spotykamy w powieściach pana K. przystałby daleko właściwiéj opisywaniu przedmiotów świętych, bo tok cały takiego języka, oddycha powagą jakąś i namaszczeniem. Legendy dziejowe, których tak wiele w Paprockim i Okulskim, możeby się nie źle wydały, ujęte w te formy uroczystego języka, — lubo i za to nie ręczym. A p. K. na jeden i tenże sam sposób opowiada nam przeszłość z XV i XVIII wieków. Wszędzie język tenże sam, myśli, sposób wyrażenia się, wszędzie formy też same. Powziął p. K. i chęć odtworzyć nam te dawne legendy, o którycheśmy dopiero mówili. I w legendach ten wyginany język, te żarty, te wyrazy jednozgłoskowe na końcu dla effektu. Przypominamy sobie *przeprawę pod Kazimierzem Lubelskim*, drukowaną w Bibliotece Warszawskiéj. Najniedorzeczniejsza mistyfikacja: pozmyślane i fakta i osoby i cała historyczność epoki, — co gorsza: dziwaczny wymysł, — nie nasz, nie z Paprockiego wzięty, nie pana K. nawet, a z jakiejś tam broszury francuzkiéj, czy powieści, — jakaś narodowa legenda francuzka gwałtem przesadzona nad brzegi wiślane. I zwiędła u nas ta obca roślina, — boć to jawne tłumaczenie, jawny żart z publiczności polskiéj. A jednak *Przeprawa pod Kazimierzem Lubelskim*, to jeszcze najlepsza z legend pana Kosińskiego.

Przypominamy jeszcze sobie drugą powieść, także w guście legendy i także drukowaną w Bibliotece. Niepamiętamy nazwiska tego cudnego utworu, — ale wiemy, że działa się rzecz w jakiemś zamku koło Częstochowy, w Kruszynie, w Prusiecku, czy téż w Olsztynie. Jan Kazimierz w tym zamku rozmawiał z cieniami a co najosobliwsza z cieniem Kazimierza W. Król Chłopków uczył syna Zygmunta III polityki machjawelskiéj, — powiadał mu

jak ma rządzić Polską, żeby nieład pokruszyć, ład zaprowadzić. Kazimierz W. powiada do króla, że powinien *chcieć* a potém *módz*. I na dowodzenie twierdzeń swoich, rozwija przed nim dzieje swojego panowania, buduje przykładami. Czysty Machiawel! Kazimierz W., widać z téj legendy, był spiskowym na zgubę narodu. Panu K. serdecznie dziękujemy za taką nowość! Zdawałoby się że to legenda, że to podanie jednego ze starych zamczysków. Gdzie tam! to także tłumaczona jakaś powiastka, w polskie ubrana wyrazy, i w polski dziwnie połamany język. Ależ tak zmyślać narodowe legendy, fałsz udawać za prawdę, jest zbrodnią literacką. Dobrze jednak że panu K. nikt nieuwierzy, że nikt jego słowa nie weźmie za dobrą monetę.

Złe języki powiadają, że nasz autor podobnym sposobem jak z legend francuzkich porobił polskie, tak i powieści historyczne francuzkie, umie robić powieściami polskiemi. To śliczna zaprawdę metoda! bo jakżeto prosto, jak naturalnie, z jaką łatwością przyjdzie nam teraz z pomocą francuskich pisarzy, odtwarzać przeszłość naszą, nasze minione życie rodzinne? Niechcemy być zbyt niedelikatni, niechcemy niszczyć uroku, niepragniem odsłaniać tajemnicy, jakim to się dzieje wszystko sposobem, i mamy na to doskonałą wymówkę, jak ministrowie francuzcy na trybunie, — „że nie są to jeszcze czyny spełnione (*faits accomplis*), że negocjacje trwają jeszcze, że niedelikatność może na szwank wystawić całą sprawę." Ale jednak podamy fakt tutaj, fakt, na który mamy dowody, że p. K. tłumaczy powieści francuzkie i że z tych tłumaczeń wywiązują się zawsze śliczne, historyczne obrazki polskie, w których jednak nic historycznego, nic polskiego nie ma. To zgroza! Niechajby zresztą te utwory dzikiéj i niedowarzonéj fantazji wychodziły na świat jako tłumaczenie; nie wziąłby ich wprawdzie do ręki człowiek uczony, lubiący pracę, bo mu szkoda byłoby czasu na przerzucanie tych ramot nędznych,—ale przeczytałaby je może nie jedna dama *wyższego świata*, nie jedna piękność w jedwabnych rękawiczkach, która nie ma nic lepszego do roboty, i cel wydania książki byłby osiągnięty, — książkęby czytano. Ale kiedy nam tłumaczenie zepsute podają za

oryginał, kiedy nam każą wierzyć, że to rys z téj przeszłości, która tak dobrze i tak powszechnie jest znaną; oburzenie nasze wtenczas nie ma granic. Dziwim się i nie pojmujemy tego, jak można było tak długo i tak bezkarnie najgrawać się z wiary publicznéj.

Że p. K. tłumaczył na polskie swoje powieści, w których mowa o Hiszpanii, o Italji, o Francji, w których sparodjował kilka razy nawet i wielką Napoleona postać, że te powieści i opisy dziwaczne wyciągał niby z „*pamiętników swojego ojca*" — to wszystko jeszcze, choć fałszem jest, znosić można. Ale historją dawnéj Polski snuć z niegodziwych zapomnianych francuzkich powieści,—na to, powtarzamy raz jeszcze, trzeba zbyt spokojnego sumienia. Na wszystko cośmy tutaj powiedzieli, dowody mamy w opinji publicznéj, dowody po książkach francuzkich, pamiętnikach, gazetach.

P. K. nic więc swojego nie stworzył, nic stworzyć nie potrafi kiedy polską przeszłość z francuzkich wypisuje książek. Ale nie zawsze p. K. tłumaczy. Porywa się czasami i na własne siły. Ma i swoje czasami oryginalne pomysły. Tworzy sam i snuje z imaginacji obrazy z polskiéj przeszłości. I obrazy te, są bez kolorytu, bez światła, bez cienia. Nie ma w nich życia, nie ma prawdy, nie ma uczucia i serca. P. K. nierozumie przeszłości naszéj. U niego zawsze intryga, a czasem i nie intryga, ale zawsze *nic* historycznego. Jednak w powieści historycznéj niekonieczna intryga, — tam może być obraz tylko. U p. K. i Tarło z Czekarzewic w XIV i Marcin Kącki w XVII wieku jednakowo mówią, działają, myślą; u p. K. nie ma w powieściach ciągu historycznego, nie ma czasu, niema epoki. Wszystko pomięszane i w nieładzie. Jego obrazy nigdy niedorosły tak wysokiego stopnia doskonałości, żeby stanowić obrazy. Jego rysunek nie jest żadnym rysunkiem. Jego koloryt nie jest kolorytem. Jego życie nie życiem. Do artystycznego pojęcia bardzo mu, bardzo daleko! Do artystycznego pojęcia epoki i oddania jéj w obrazach żywych i wiernych, jeszcze mu nierównie daléj, nie porównanie daléj....

Weźmy przykłady.

P. K. zdaje się, najwięcéj pokochał wiek XVII bo z jego powieści najwięcéj jest na tle dziejowem XVII stulecia osnutych. Zygmunt III, synowie jego i Sobieski, często się zjawiają w powieściach naszego autora. I w saméj rzeczy, — jestto przedewszystkiem epoka, z któréj możem mieć zajmujące, prawdziwe, historyczne obrazy. Żaden okres dziejów naszych nie może się popisać taką obfitością materyałów, taką liczbą pamiętników, takiem bogactwem pomników, które dla każdego z nas stają otworem. Czytać je tylko i z nich czerpać.

Zobaczmy np. Powieści Staroszlacheckie (Warszawa 1847). — *Bitwa pod Hodowem* (T. I. str. 1 — 106) zbiór ten zaczyna. Dziwna intryga: ojciec, bohatér powieści, chcąc żenić syna, posyła go do Mikołaja Gozdawczyka Bala z Nowego Tańca, stolnika Sanockiego. Bal miał dwie córki,—starsza była przeznaczona dla bohatéra powieści, ale umarła niedawno, przed jego przybyciem. Tymczasem młodsza zakochała się w rotmistrzu Zahorowskim: i romans to był czuły, serdeczny, bo nawet o śmierć biedną potem przyprawił. Wtém przybywa bohatér. Bal nie chce łamać danego słowa: młodszą córkę Elżbietę zaręcza synowi przyjaciela. Zahorowski i jego kochanka cierpią z boleści. Aż tu napadają Tatarzy. Zahorowski zjawia się do starego Bala, jak zbawienie, ofiaruje mu pomoc, chce go zmusić do ucieczki w głębszą Polskę, chce go przeprowadzić w bezpieczne miejsce, na czele swojego oddziału. Po długich walkach i oporze Bal zezwala. Bohatér nic nie wie co się to znaczy, dla niego miłość narzeczonéj tajemnicą była. Uchodzą więc wszyscy. Ale pod Hodowem opasują ich Tatarzy. Bój zacięty na polu, a płacze i trajedje w zamku. Wyjawia się wszystko. Bohatér zrzeka się kochanki i uwalnia ojca od danego słowa,—Bal obiecuje rękę córki Zahorowskiemu,—ale już późno: Zahorowski umiera zatrutą strzałą raniony,— Elżbieta wstępuje do klasztoru we Lwowie.

Myślałby kto że p. K. doprawdy z pomników czytać umie, że z kilku podań strojną potrafi uplątać całość. O bitwie pod Hodowem czytał w Starożytnéj Polsce i w Pamiętniku lwowskim (grudzień 1817). Na kanwie tak szczupłéj usnuł swoją powieść. Więk-

sza jéj połowa zajętą jest Tatarami. Bój opisany ze wszystkiemi szczegółami,—zdaje się na miejscu robił swój opis nasz autor. Ale będzież to powieść historyczna polska, gdzie w większéj połowie na planie, tylko Tatarzy? To powieść tatarska, nie polska, albo raczéj tatarsko-polska. A nie chcemy sądzić, że p. K. zna lepiéj dzieje Krymu, jak dzieje Polski. Bardzo wątpim, czy w bitwie pod Hodowem obraz Tatarów prawdziwy. Ale pojmujemy całą tę taktykę. To bardzo wygodnie — w obrazie z przeszłości polskiéj, pomieścić i obrazy Tatarów. Złapią cię na gorącym uczynku, —„to nie tak było, — to znowu fałsz dziejowy, — to jawny błąd historyczny, — to anachronizm," — w takim razie zasłonić się czem innném,—i nie polską przeszłość a inną przeszłość, co się wiąże z Polską, wziąść za materyał cudowny. Glina to lepka, — p. Bóg wie, co się z tego może porobić, wykształcić, wylepić. Tatarzy od niejakiego czasu, są tym portem zbawienia dla nic nieznających historji, historycznych powieścio-pisarzy naszych. U p. K. oni oddawna główną grają rolę—i wcale w miejscu. Gdzie tylko brak konceptu, wystawienia, myśli,—jednem słowem, gdzie tylko brak twórczości, nauki, zaraz tam na plac występują Tatarzy. Jak w dawnych komedyach zależało na lokajach i suberetkach, jak bez mądrych lokajów, a bez głupich panów, żaden się nie obszedł utwór nadobnej sztuki, tak teraz nic bez Tatarów. Tatarzy napadają, rabują, palą, Tatarzy zbliżają kochanków, albo ich rozdzielają, biorą niewolników w jassyr; niewolnik traci serce w Krymie, zapomina o dawnéj kochance, którą w Polsce zostawił. To czasem znów Tatar zakochany w Polce po uszy. Nie! — w powieści polskiéj koniecznie Tatarzy potrzebni,—bez nich ani stąpisz kroku, — bez nich nic ci się nie uda. Niech żyją Tatarzy! zajmujemy się Tatarami con amore. Uczymy się ich wyrazów na pamięć: wiemy co znaczy aman, wołamy: ałłach bu ekber! ałłach bis ałłach! Tatarzy, to całe szczęście nasze, to Deus ex machina dawnéj epopei starożytnych!

Nam się zdaje, że zacny K. W. Wójcicki obudził w nas tę sympatję dla Tatarów, przez pięknéj zasługi prace swoje dzie-

jowe, w obrazkach i zarysach. Pamięć Kaź. Władysława błogosławić więc będą historyczni powieścio-pisarze polscy,—a my jednak wymawiamy mu to błogosławieństwo! I przyznamy się, że gdyby nam kiedy chęć przyszła pisać powieść dziejową polską, gdybyśmy do napisania téj powieści mieli dostateczne siły, nigdybyśmy już obrazu naszego nie mieścili w téj części Polski, w ktoréj jakąkolwiek bądź rolę mogą odgrywać Tatarzy. Środek to już zupełnie zużyty—intryga z Tatarami już nudzi. A szkoda!—wcale piękny ustęp mógłby prawdziwy talent w historycznéj powieści utworzyć z tych Tatarów, którzy co rok prawie są postrachem Ukrainy, Podola, Wołynia i Ziem ruskich.

Za długa to może uwaga, bośmy zanadto odskoczyli od Bitwy pod Hodowem. Alež tę uwagę koniecznie zrobić potrzeba było, bo to, cośmy tutaj powiedzieli, dotyczy wszystkich powieści historycznych polskich, które się teraz piszą i da Bóg, że pisać się jeszcze i drukować będą. Niezdolność, któréj brak pomysłu, brak nauki, zużyła częstém powtarzaniem, środek malowniczy i piękny dla naszéj powieści, a szkoda! wielka, nieoceniona szkoda!

Najdziwaczniejszy pomysł w bitwie pod Hodowem, że Bal zmusza młodszą córkę, żeby wbrew postanowieniu dawnemu, wbrew sercu, szła za mąż za bohatera powieści, — jest wcale nie polski. Bohatérowi starsza córka przeznaczoną była, — umarła,— obietnica więc Bala, słowo dane przez ojca panny, wolą boską upadło. Dawny Polak umiał poznać, uczuć, uszanować tę wolę boską. W śmierci córki widziałby zrządzenie opatrzności. A potem, jakaż to dziwna, niechrześcijańska, bez siły i charakteru ta wola starego Bala! Młodszą córkę prawie że zaręczył Zahorowskiemu, a zrywa jednak te stosunki dla dawnych przyrzeczeń, od których go samo niebo uwolniło. Kiedy się prawdy dowiedział, zrzekł się ręki kochanki bohatér powieści,— a wtenczas jakieżto jeszcze miał prawo Bal stary zezwalać na związek córki z Zahorowskim? Bal obietnicę swoją daną przyjacielowi (ojcu bohatéra) za coś świętego, religijnego uważał,—mógłże go od téj obietnicy uwolnić bohatér? toć chyba

prędzéj jego ojciec. A potém, czemuż było i daleko szlachetniéj i daleko prościéj nie postąpić sobie z synem przyjaciela, szczerze i otwarcie? Wyznać mu z początku prawdę całą, jak się rzecz miała, a możeby bohatér od razu zwolnił ze słowa, jeżeli już słowo jego mogło rozwiązać skrupuły Bala i świętość przysięgi usunąć. Niepotrzebnie pastwił się nad córką stary ojciec i feodalne zanosił obyczaje do Polski na koniec siedmnastego stulecia.

A potém, ta zbytnia czułość Elżbiety dla Zahorowskiego, i Zahorowskiego dla Elżbiety, to zbyt romansowe, zbyt francuzkie, wcale nie polskie, wcale nie z epoki Sobieskiego. Kiedy ślepo ręką córki chciał rozrządzać ojciec, to po cóż jéj dawał romansowe wychowanie, pozwalał jéj bawić i rozmawiać swobodnie z kochankami, i wreszcie uczuć dla niego miłość? Możem zaręczyć panu K. że w Sobieskiego czasach, szlachcianki z ziemi Sanockiéj, nie romansowały tak jak nasze emancypowane panny. Rodzice wybierali córkom mężów, — szły więc córki za mąż, bo małżeństwo wtedy było sakramentem, otaczał je cudny urok świętości, woni religijnej,—więc panny nie znały spazmów i grymasów. I ztąd sceny w Hodowskim zamku, uczuciowe sceny, w których bohatér powieści dowiaduje się prawdy, są nie do pojęcia. Elżbieta mdleje, woła na głos każdemu z osobna i wszystkim wobec, że kocha Zahorowskiego; matki kochanków szaleją, bohatér szuka śmierci, chce zginąć w boju z Tatarami, a jednak płacze i jęczy. Powiedzieliśmy już raz, że to najsentymentalniejsza tragedja. — Aż zimno się robi na wspomnienie, że tak kochały dawne Polki, kiedy wyobraźnia nasza szukała w nich zawsze wzorów skromności i cnoty.

Widocznie francuzka to powieść, bez sensu, bez ładu, ubrana w wyrazy polskie, — i obstawiona kilku historycznemi wspomnieniami z czasów Sobieskiego, jakby na przyprzążkę.

W *Panu Janie Boguckim* także na głównym planie Tatarzy. Gdyby p. Jan Bogucki nie pojechał na wojnę z Tatarami, nie byłoby Żurawna i niebyłoby powieści. Nabytek to ważny dla dziejów naszych:—że też to o tym fakcie, który podaje p. Ko-

siński, nic nie napisali kronikarze nasi. Podstęp Boguckiego w obozie Tatarskim uratował Jana III. pod Żurawnem, ocalił Polskę; dla tego wyznamy, bardzo szczęśliwy traf, widać wola saméj opatrzności, ściągnęła Jana III i jenerała artyllerji kor. pod strzechę p. Jana. Bez p. Jana niebyłoby Żurawna, zginąłby król, zginąłby Kącki, zginęłoby wojsko całe. Król sam jeden z Kąckim po nocku, w deszcz ulewny, błądzi bez świty, bez żadnéj oznaki dostojeństwa swojego, oddzielony od wojska, bo król idzie na wojnę. Jakże to naturalnie! Ale to wszystko wyrachowane na effekt. P. Jan nie zna króla, król téż gra u niego rolę prostego szlachcica jadącego na wojnę. Sobieski lubił widać niespodzianki, cieszył się, że Bogucki strwoży się kiedy pozna prawdę. Niestety! i ten środek do szczętu już zużyty. Effekt ten nie robi wrażenia. Od ś. p. *Henryka IV na łowach*, aż do naszego czasu, ileż to już takich niespodzianek, których się zaraz od pierwszego rysu spodziewamy!

Kącki po łacinie nie umiał. To wielce zabawne, jak on powtarza tytuł swojego pana. Dla naszéj wiadomości, dwa razy powtarza ten tytuł p. Kos: „Joannes III. D. g. Rex Poloniae, M. D. Lithuaniae, Russiae, Prussiae... Inflantiae, Czernichoviensisque (!!!). Król ma spółczucie dla miłości niekoniecznie wzajemnéj p. Boguckiego dla Katarzyny Jackowskiéj, i bierze p. Jana z sobą na wojnę, żeby młodemu gospodarzowi swojemu zapewnić przyszłość za gościnne przyjęcie. I w saméj rzeczy, Bogucki przytomnością swoją, zapewnił tryumf Królowi pod Żurawnem. Istotnie po machjawelsku sprawił się Turkom. Onto zdziałał, że Turcy sami prosili o pokój Jana III kiedy go mieli już w ręku. Plótł téż im smalone duby p. Bogucki, tym głupim Turkom i Tatarom; myśleli oni że to hetman Sieniawski (!) przybył do obozu królewskiego. I Turcy się dali tak haniebnie oszukać!

Powieść zaczyna się 20 września w r. 1677 a we cztery tygodnie niespełna, 6 października 1676, już o późnym wieczorze, trzy osoby przechodzą się w obozie pod Żurawnem: król, Kącki, Bogucki. Bogucki odtąd do wszelkich narad wojennych i planów

należał, nieodstępnie wieszał się przy królu,— szkoda że tego nie wie historja, a to fakt przecie. Po zawartym już pokoju z Turkami, narada znowu w komnacie obozowéj Jana III. Są tam znakomitsi dowódcy wojsk, jest Kącki, jest Bogucki i zgadnijcie kto jeszcze? —niezgadniecie nigdy, —Szmigielski, sławny partyzant czasów Augusta i Leszczyńskiego, Szmigielski daje zdanie w obozie pod Żurawnem! Młodo wojować zaczął, bo w r. 1686—7! Szmigielski był jeszcze wtedy dzieckiem i może nawet dziesięcioletniem.

Powieść prześlicznie się kończy. Bogucki jechał na wojnę szukać szczęścia a szczęście jego samo szukało. *Mehmed Gerej manu propria* daje mu pismo na sto kies złota od króla Jana,— król Jan niechce dać się w grzeczności uprzedzić Hanowi Krymskiemu. Jadą więc obadwaj do Katarzyny Jackowskiéj. Przybyli w samą porę; stary Skórzewski oświadcza się właśnie Katarzynie: młoda wdówka niewie co ma z sobą robić, bo serce ciągnie do p. Jana. Myśmy wiedzieli że król popsuje cały interess Skórzewskiemu, bo przez to błądzenie w deszcz Jana III z Kąckim, przez nocleg u pana Jana, pozór, niewola p. Jana i jego znalezienie się w obozie tureckim, a tryumf Polski, zapewnia to; po co ten Hański podarunek i podróż króla do Katarzyny? To znowu miła dla nas niespodzianka, którą także z góry przewidzieć można było. Żeni się więc Bogucki z Jackowską, a na weselu zostaje *grodowym Żurawińskim starostą.* (!) Umarł Jaśnie Wielmożnym kasztelanem Halickim, Żurawińskim i Opoczyńskim starostą, i to nowe dla nas dzieje. Bo ile wiemy sami, my, co nie tak dobrze obeznani jesteśmy z przeszłością naszą, jak p. K. żył w późniejszych nieco czasach Stanisław Abdank Bogucki kasztelan Sądecki, nie Halicki i inne wcale zawierał związki małżeńskie jak powieść nas uczy. Dowodem, Niesieckiego Korona. A o Żurawińskim staroście nic niepodaje nam starożytność polska. Wszystko to effekt obrachowany dla nas, p. K. chce nas zadziwić, przekonać, że w powieści historycznej jest obszerne pole dla fantazji, dla zmyślenia. Wszystko tam dla nas nowe, — cała tam historyczność niehistoryczna. Pozmyślane osoby, pozmyślane urzędy, fakta, pozmyślane zwyczaje

narodowe, cały sposób życia przodków, — i nam każe wierzyć że to rys jeden z różnobarwnej przeszłości naszéj, że to sama przeszłość nasza. Aleź to historyczność metody pana K. Jest mu czego zazdrościć. To widoczna nowość, — oryginalność, — a nowość i oryginalność tak w naszym czasie popłaca!

I dla czegóż ta powieść ma być koniecznie z Sobieskiego czasów? Cóż w *Panu Janie Boguckim* przypomina oblężenie pod Żurawném, odsiecz Wiednia? Czy ten Kącki co nie umié po łacinie, czy ten król Jan Trzeci, zwolennik poetów i niespodzianek? czy ta pani Katarzyna Jackowska, co mizdrzy się do bogatego Skórzewskiego, a kocha potajemnie pana Jana? Wsadźmy do téj powieści Henryka IV z Sully'm, a powieść będzie się działa we Francyi; wtedy tylko zamiast Tatarów i Turków muszą w niéj figurować: Hiszpanie albo Anglicy.

Bitwa pod Wagram, jest także staroszlacheckim obrazem, bo to jeden z rysów dawnéj Polski, pod koniec XVIII stulecia! Przyznajemy się w szczerocie serca, że odczytać tego obrazu niemogliśmy — brak cierpliwości — tak, śmiertelne to nudy, przeglądać utwory p. K. Początek powieści czyta się przecież jak deklamacya. Jest tam dużo życia, a więcéj jeszcze effektu: trzask, brzask, szurum, burum, i nic z wszystkiego, np. „hułany, szassery, kirassiery, husary... lekkość, moc i zwinność, zwinność i moc, blask... lance, kaski, mundury... Austerlitz, Lodi, Marengo, Hanau, Montmirail!... konie rżą, szable brzęczą, żołnierz muska wąsa, dowódzca woła: „bracia na przód!" „Attak kawaleryi, piękna rzecz, miła rzecz!" I serce wtoruje „piękna rzecz, miła rzecz!" Pod Wagram, spotykają się dwa pułki Nadwiślańców (wyrażenie czyste p. K.) jeden ciągnie z Iberyi, drugi z Niemiec — niewidziały się te półki wiele, wiele czasu, tu sobie zachodzą oko w oko, witają się — a w liczbie innych półkownik jakiś z jakimś Józefem; to spotkanie czułe! — a potém kapitan jakiś z Wincentym jakimś; to spotkanie groźne! Ci ostatni patrzą w siebie, straszą się nawzajem — widać zaklęte to wrogi, — a wiecie dla czego? Rywale, kochali się w jednéj. Działa grzmią pod Wagram, rozpoczyna się attak kawalerji (piękna rzecz!) ruszają się pułki, — a kapitan myśli o kochance, sierżant także — na go-

dzinę przed śmiercią!—Ależ to przecudowne! effektowe! nec plus ultra!

Stek brudu, fałszu, nieprawdopodobieństwa i bezeceństwa, zupełny brak nauki i czystego sądu, to w ostatniéj powieści pod tytułem „Dziecię przeklęte.” Sam tytuł trąci francuzczyzną; będzie to zapewne jakie nieprawe dziecko, będą to zapewne dziwactwa nowoczesnéj wyobraźni francuzkiéj. I w rzeczy saméj,— *w Dziecku przeklętem*, wszystko brudami przesiąkłe. To najniedorzeczniejsze tłumaczenie, towar najniezgrabniéj przemycany. Doktora ze Star. Miasta w Warsz. Mynherra Johanna Wundermanna 20 mar. 1705 łapią z domu jacyś oprawcy, wsadzają w powóz, zawiązują mu oczy i błądzą długo, szeroko, po ulicach stolicy, aż stanęli wreszcie gdzieś i wprowadzili go do pokoju. W pokoju leży kobiéta na łóżku i rodzi. Mąż jéj kasztelan Michał Gryfowczyk Żwan, zły, chce zabić dziecko. Poznaje kasztelana, doktor. Pan zły,—bo chciał być nieznany. Żwan gniewa się na żonę, która rodzi w ósmym miesiącu. Podejrzliwy kasztelan najpoczciwszą, najniewinniejszą żonę posądza o złamanie wiary małżeńskiéj. Płacze, jęki, groźby. Wreszcie młodego kasztelanica bierze na wychowanie Mynherr, edukuje go i posyła do Rzymu. Z Rzymu wraca Żwan malarzem, ale nie wie nic o swojem urodzeniu, bo Mynherr, od dnia do dnia odkłada powieść. W 25 lat po owéj nocy strasznéj kiedy się kasztelanic urodził, stary Żwan, hetman już i wojewoda, traci młodszego syna Stefana i dowiaduje się że starszy żyje. Biegnie do Mynherra, widzi syna, ale ten nakłada na ojca zbyt uciążliwe warunki żeby go ojcem uznał; chce żenić się z siostrzenicą doktora — Hetman przeklął go, zadrgał śmiertelnie i umarł, młody Żwan rzucił papiery w ogień i ożenił się z Marją...

Nierozszerzaliśmy się obszernéj z treścią Dziecka Przeklętego. Czasami ubliża, pisać o tém, o czém pisać nie warto. Ale nasz cel był jedynie zaprotestować w imieniu całéj czytającéj publiczności przeciw takiemu obrabianiu przeszłości naszéj. Kto smakuje w podobnego rodzaju utworach, niech czyta Staroszlacheckie Powieści. My tylko zwracamy uwagę na ich nicość. I niezwra-

calibyśmy nawet weale téj uwagi, gdyby nie pokup, który nas dziwi, na powieści pana Ad. Am. Kosińskiego.

Powieść historyczna nigdy jeszcze tak nie zaciekała się w błędy, żeby aż tworzyć wielkie figury dziejowe, jakich nie było na świecie. Stolnika Saneckiego, Cześnika Wiślickiego, mógł stworzyć autor w imaginacyi swojéj, —mógł zmyślić jego nazwisko, historyjkę o nim; niechaj tylko wymysł swój odzieje barwami miejscowemi, przystroi w prawdę dziejową, wy wierzyć będziecie, że jego obraz, to obraz czasu. Ale wymyślić hetmana, wojewodę, stworzyć całą rodzinę magnacką, któréj i w najobszerniejszym nie znajdziesz herbarzu, to za śmiało — powiemy nawet, to bez sensu, i wierzyć nie będziem w autora sumienie, bo tam prawdy niema, tam fałsz. Żwan jest taką właśnie figurą *w Dziecku.* Ze słów powieści sądząc, byłto magnat na wysoką stopę,—a to cień tylko, fantazja, złudzenie. Takiego czynu niedopuści się żaden z powieściopisarzy co znali historję. Potém cóż to znaczy, owo zdrobniałe nazywanie po herbach: Abdańczyk, Gryfowczyk, Jastrzębczyk? Zaręczyć możemy panu K. że szlachta Polska nie wymawiała tak pieszczotliwie imion swoich herbów. P. K. w rzeczy tak małéj, tak niewinnéj zdradza w swym zapale ducha narodowego i zupełną nieznajomość historyi.

Gdybyśmy w tych drobiazgach, które należą do powieści historycznej, szukali więcéj usterków, nieznaleźlibyśmy końca cytacyom naszym. A właśnie te drobiazgi pokazują naukę, znajomość faktów, kolorytem dziejowym powlekają obraz. Rzecz to zapewne mała błąd taki, ale człowiek nauki, nie będzie pisał o kasztelanie Malborgskim, (II. 189) bo takiéj kasztelanii nie było, — nie powie, że Jan III. klasztor Missyonarzy w Warsz. założył na pamiątkę zwycięstwa Wiedeńskiego (II. 204) bo Jakób Sobieski fundamenta 1682 pod klasztor położył. Nie wyda się historyk, że kasztelan Żwan dostał przed d. 20 mar. 1705, order Orła Białego (II. 206) kiedy ten order postanowiony dopiero w Tykocinie 1706. Nie powie: Saska kępa (II. 241) kiedy w lat 50 po 1705, nazywano ten kawałek ziemi oblany łachą wiślaną, *Kępą Olędry.* Nie będzie twierdził, że Leszczyński królem być ma po 20· marca 1705. (II. 156) bo był już

od roku królem Leszczyński. Nie wymyśli grodowego starosty Żurawińskiego (I. 245), bo zmyślać fakta jest grzechem. Nie stworzy jakiegoś Regimentarza Florjana Rzewuskiego (II. 130, 181) nie będzie mu przypisywał znaczenia jakiego niemiał. Gazet Warszawskich (T. 2gi podobnież) w których wszystko jest fałszem, a nawet ten sławny wjazd biskupa Krak. 6 maja 1720, układać nie będzie w swojéj redakcyi.

Chciał p. K. popisać się ze znajomością literatury polskiéj w r. 1730 i za towarzyszy malarzów stawia Troca, Ant. Wiśniewskiego, Wolfa, Minasowicza i Rzączyńskiego (T. II 243). Najnieszczęśliwsze skojarzenie imion pościąganych gwałtem, — najfatalniejsza mustra z erudycją. Chciał p. K. zrysować obraz Starego Miasta (II. 224). I znów najnieszczęśliwsze przedrzeźnianie historyi.

Sceny Mich. Gryfowczyka Żwana z żoną (II. 201) - sceny z synem (tamże st. 284 i t. d.) dziwactwem i bezczelnością przechodzą wszystko, cośmy tylko powiedziéć mogli. Szalony Gryfowczyk chce Boga przekupić (str. 285) olśnić Boga swemi kamieniami, — gniewa się, że syn jego Józefem się nazywa (str. 296)! chce go zwać Michałem, Klemensem, Stefanem, bo — „to zwykłe nasze imiona," powiada, chwali się jak dziecko, chce w klasztorze mnichem umrzéć, — i to wszystko w ciągu rozmowy z synem malarzem. Gryfowczyk pomysły ma genijalne, plany olbrzymie, a rodzą się w nim i nikną płomieniem błyskawicy. Wreszcie pada trupem i umiera nagle ze wzruszenia. Szaleństwo! ale nawet szaleństwo nie polskie! (*)

Zmęczyliśmy się i ustaniem, — bo zdaje się dosyć tego co dotąd powiedzieliśmy. W panu K. nie mogliśmy w żaden sposób dojrzéć i cienia zdolności do tworzenia historycznych obrazów. U p. K. niewidzieliśmy nawet powierzchownéj znajomości faktów. Za co się tylko weźmie p. K. wszystko wykrzywi, zepsuje i do

(*) Również rozmija się z prawdą historyczną autor w powieściach, gdzie mówi o *Bromirskich*, również rozmija się z prawdziwością w szkicach spółczesnych kreślonych dla Gazety Codziennéj.

niepoznania przekręci. Nawet Pasek, kochany nasz Pasek nie uszedł świętokradzkiéj ręki.— *Moje konkury*,—powieść,—niby to opowiadanie Paska, któreśmy czytali przed kilku laty w Gazecie Codzien. zatarła pociesznego gawędziarza. Okropna to krzywda dla Paska! przedmiot wszakże był bardzo piękny dla prawdziwego talentu, któryby nam umiał konkury Paska opowiedziéć.

A jednak powieści p. K. mają czytelników swoich i mają pokup. Autor na nich zarabia, jak słyszeliśmy, znaczne summy,— księgarze go szukają i płacą. Skądże to? Bo znaczna część publiczności naszéj, zamiast zająć się czemś serjo, poważnem, coby ukształciło umysł i serce, lubi się jeszcze intrygami powiastkowemi zajmować,— a p. K. jak z rogu obfitości leje swoje powieści, na których tyle mu potrzeba czasu, ile czasu trzeba, żeby je napisać. Takich powieści, bez myśli, bez ładu, możnaby łatwo podać do druku cały tysiąc. Ludzie co myśléć lubią, nie wezmą do ręki książki p. K. żeby się nią zabawić. Myśmy jednak chcieli i panu Kosińskiemu i czytelnikowi oczy otworzyć, że szkoda czasu i atłasu.

Julian Bartoszewicz.

OGÓLNY PRZEGLĄD
ESTETYKI HEGLA.

Mając zamiar przedstawić czytelnikom znaczenie, i treść najwyższą filozofii Hegla, w stopniowem następstwie i z całą, ile

przedmiot dozwoli przystępnością, zaczynamy od Estetyki, jako od dzieła, które z dwóch względów celowi temu odpowiada.

Naprzód w samej jego osnowie już zawarty jest bliższy związek z życiem, z człowiekiem działającym i czującym; powtóre że jak sama piękność jest ważnym i głębokim pierwiastkiem ludzkości, tak i pojęcie jéj (nauka, czyli filozofia piękności) stanowi ważną część nauki nieśmiertelnego mistrza, i jeżeli dzieła są pomnikiem myśli człowieka, Estetyka, którą rozbieramy, jest najwyższym wyrazem, jest fizyognomią téj, że tak powiem filozofii świata.

Tym sposobem dwóm trudnym do połączenia względom stanie się zadosyć: ważności przedmiotu i jasności przedstawienia: ostatniego nigdy nie spuszczaliśmy z oka w ciągu pisma. Co do pierwszego t. j. ważności, dziś zbytecznem byłoby mówić o wysokiem znaczeniu, i konieczności filozoficznego pojmowania przedmiotów, zatem i fiilozofii saméj, pod której magnetycznem działaniem, wiek nasz żyje i rozwija się w przyszłość.

Przedmiotem Estetyki jest piękność. Lecz cóż jest piękność, owo tajemnicze słowo świata? skazówka wieczności! wśród przemijających rzeczy ludzkich, początek nieba na ziemi? Zewsząd słyszymy odgłosy o zjawiskach piękności w naturze, w działaniach ludzkich, w pomysłach mędrców; o pięknem niebie południowem, o pięknej twarzy, o pięknym gaju, strumyku, kolorze i t. p. Każdy z nas ma przed sobą rozłożoną sferę życia, a w niéj indywidualne widoki piękności, które sam tylko pojmować może i czuć, jako objawienie myśli, *jemu* tylko zrozumiałym językiem przemawiającej. Ta sama sfera, te same widoki, usunięte z przed jego indywidualności, przedstawiają się drugiemu, jako zwyczajne, jako obojętna gruppa zjawisk, z myślą, lecz bez piękności.

Ztąd pochodzi tak wielka rozmaitość uczuć, popędów i wrażeń między ludźmi, jakkolwiek pod wspólnem działaniem świata zostającymi; każdego bowiem inne spaja ogniwo z bytem powszechnym i nadaje mu inne stanowisko wśród ogółu rzeczy. Gdyby więc piękność zależała od tych osobistych stosunków człowieka do świata, od indywidualnych usposobień każdego, niebyła by tem, czem jest rzeczywiście, to jest bezwzględną doskonałością i niezależną prawdą, niebyłaby pięknością wieczną, lecz przemijającym fenomenem teraźniejszości, przestrzeni i kształtu. Estetyka nie mówi o takiéj jednostronnej nadobności, lecz zajmuje się czemś wyższem, niewidzialnem, będącem pięknością wieków. Przedmiot Estetyki stanowi *Sztuka*, swobodne objawienie się *duszy, jednej, powszechnie-ludzkiej, bezwzględnej.*

Piękność objawiona w sztuce bierze swoją bezwzględność i powszechne znaczenie ztąd, iż ma za zródło swoje: ducha bezwzględnego i powszechnego. Piękność taka jest wyższą od piękności natury, bo piękność jest zarazem najwyższą prawdą, a prawdą jest tylko ona. Piękność natury jest tylko dalekiem odbiciem ducha na tle materyi; jest tylko słabym, niedokładnym momentem bezwarunkowej, głębokiéj doskonałości ducha, jest jakby początkiem tylko i zjawiskiem, którego substancya w *duchu* spoczywa. W naturze dostrzegamy wprawdzie przedmioty nadobne, zachwycające oko; takim np. jest widok słońca, gdy nakształt roztopionej purpury zapada w oddal zachodu; ale słońce nie jest pięknością samodzielną, lecz momentem całości; więc cel swój ma nie w sobie, ale w całości. Utwór sztuki jest pięknym przez siebie, w wykonaniu jego już dopiętym jest ostateczny cel twórczości, objawienie się ducha. W naturze panującą siłą jest konieczność, w sztuce panuje siła swobody i podmiotowość ducha; i na tym punkcie sztuka przybiera charakter prawdziwej piękności, rozwiązuje najwyższe zadanie życia, bo wchodzi na wspólną drogę z Religią i Filozofją, przedstawiając uznanie w wykończonéj formie, ideę bozką, również najgłębsze zadania ludzkości i wszech ogarniające prawdy ducha.

W cudnym panteonie sztuki, ludy złożyły całą treść wewnętrznych spostrzeżeń swoich i przedstawień, i u wielu ludów do tajników mądrości i religii przeniknąć można tylko przez symboliczną bramę sztuki. To przeznaczenie sztuka ma wspólne z Religją i Filozofją, lecz z tą wyłączną sobie własnością, iż najwyższą nawet treść obydwoch, przedstawia zmysłowo, i z téj strony ma jakiś *związek* z naturą, z jéj zjawiskami, ze zmysłami i z uczuciem. Jestto głębia nadzmysłowego świata, w którą myśl przenika; którą objawia uznanie jako typ tamtego świata, wyzwolony z rzeczywistości i ograniczonego bytu. Lecz to wzniesienie, ten rozbrat ze światem zewnętrznym; chwilowe rozdwojenie bytu wewnętrznego (duchowego) z zewnętrznym; duch znosi, wysnuwając z siebie utwór sztuki, będącej połączeniem ducha ze zmysłowością, znaczenia z kształtem, myśli niewidzialnej z widomą jéj szatą.

Z przytoczonych dotąd pojęć wywiązać można pierwsze wstępne określenie sztuki: *jest to połączenie idealności z materyalnością, ducha z naturą*, jest to znaczenie i wyrażenie w harmonijnej jedni.

Za słabą stroną sztuki uważać by można to, iż piękne jéj kształty przedstawiają nie rzeczywistość, lecz tylko jéj idealny cień, jéj *pozór*; że sztuka niema takiej, na konkretnem tle rzeczywistości opartej podstawy, jak samo życie. Sztuka więc mając za treść swoję pierwiastek złudzenia, niższą się być zdaje od prozaicznego życia, polegającego na rzeczywistości i prawdzie bezpośredniéj. Tak np. uczucia bohaterów przedstawionych w epopei i całe pasmo wypadków, snujące się około nich, słowem tak wewnętrzny świat (uczucie), jak i zewnętrzny — przedstawiony w sztuce, jest utworzony, nierzeczywisty, bez prawdy (jakkolwiek granice uczuć i działań bohaterów, są niekiedy wzięte z historyi). Ten zarzut ma poniekąd swoją zasadę, ale głębiéj pojęty, przestaje nim być; i z zarzutu zamienia się na wysoki przymiot sztuki.

Epopeja np. przedstawia osobę, bez jéj ciała historycznego, a działania osób z krainy faktu, przenosi w odbicie i że tak powiem w królestwo cieniów. Hamlet Szekspira nie jest Hamletem dzię-

jopisarzy, tylko jego malowidłem, w pięknym profilu. Lecz rzeczywistość raczéj, czyli bezpośredni byt, materyalność raczéj uważać można za złudzenie, bo w sztuce tylko żyje prawda w całéj wielowładności, bo sztuka przedstawia samą doskonałość osób i działanie, samą bezwzględność ducha i prawdę, która w życiu zasłoniętą jest chaosem materyi, przypadkowości, samowolną grą zdarzeń, charakterów—Sztuką oswobadza treść swoję od pozoru i złudzeń tego przemijającego świata i nadawa jéj wyższą ducha rzeczywistość.

Więc zjawiska sztuki mają wyższą realność i prawdziwszy byt jak zwykła rzeczywistość. Jeżeli zaś utwory piękności zdają się być złudzeniem w porównaniu z myślą filozofii, pojęciami religii, zasadami moralności, tedy w porównaniu z pozornością zmysłowego bytu, sztuka ma tę wyższość, iż w niej pozór sam się wystawia, iż z formy swojéj wskazuje na duchowość, którą miał wyrazić; przeciwnie, zjawisko—życie rzeczywiste, występuje zawsze nie w charakterze złudzenia, lecz w charakterze rzeczywistości i prawdy, tymczasem prawda traci swoje światło i wydatność pod zasłoną bezpośredniéj zmysłowości „Trudniéj przez twardą powłokę natury i zwyczajnego świata przeniknąć do idei, jak przez dzieła sztuki.”

Wykazawszy mocną stronę sztuki, nadmienić jednak wypada, że ona ani w treści, ani co do formy, nie jest jeszcze najwyższym i absolutnym punktem objawienia się ducha i uznania się w najżywotniejszych jego interessach. Sztuka bowiem już z saméj formy swojéj jest ograniczoną. Pewien tylko zakres i stopień prawdy może bydź przedstawionym w elemencie sztuki; bo w jéj (sztuki) naturze spoczywa konieczność zniżenia się do zmysłowości. Wiek nasz, chrześcijańskie pojmowanie prawdy i duch nowego czasu, postawiły prawdę na takim punkcie, że dzisiejszy wysoki pierwiastek duchowego życia, materyałem zmysłowości (formami sztuki) objętym bydź nie może. Apoteoza artystycznéj piękności już dziś jest niepodobną „Myśl i rozwaga wyprzedziły sztukę.” Że więc piękność i najwyższe znaczenie sztuki stały się już dla nas przeszłością, że ze sceny życia ludów zeszły w pojęcie, prze-

to tem mocniéj nastręcza się potrzeba zbadania jéj; sztuka przeszła już w naukę. A tak co umarło w rzeczywistości, jak powiada Szyller, to żyje w pieśni; my zaś dodajemy że „co zamarło w pieśni (w utworach sztuki) to żyć zaczyna w teoryi." Więc teorya piękności, czyli filozofia sztuki jest ostatnią dobą i najwyższem zakończeniem processu sztuki saméj.

POJĘCIE SZTUKI.

Najwyższe pojęcie sztuki, według Hegla, jest takie:

Sztuka jestto przedstawienie idei absolutnéj w doskonałych formach.

Takie określenie daje się rozwinąć obszerniéj, odpowiednio znaczeniu idei saméj: i tak:

Sztuka zależy na połączeniu idealności z materyą, ducha z naturą, na wskazanéj i zgładzonéj walce myśli z formą, niewidzialności z widomém zjawiskiem, na nadaniu nieskończoności pewnych zmysłowych granic, słowem na sprowadzeniu idei w świat rzeczywisty. Temu pierwotnemu określenia sztuki, Hegel dał wysokie rozwinięcie w dziele, które czytelnikom pisma naszego przedstawiamy. Przedewszystkiem wypada nam rozwikłać wszystkie strony danego tu określenia sztuki i tym sposobem, foremną, właściwą i naukową drogą wejść na stanowisko Hegla.

Co jest idea? Na to zapytanie odpowiedzieć winniśmy z różnych miejsc, a raczéj z całego organizmu filozofii Hegla. Czy idea jest zbiorem, wypadkiem ogólnego połączenia wszystkich pojęć ludzkich? czy jest oderwaném wyrażeniem się umysłu ludzkiego? czystą abstrakcyą, mającą tylko w pojęciu ludzkiém jakieś znaczenie? bynajmniéj! Może jest to symbol, tajemnicze godło świata, służące za skazówkę ogromu wszech rzeczy, niepojętego, nie ogarnionego, niewysłowionego?

Nie!, idea jest życiem, rzeczywistością, i wyższą jeszcze ani-

żeli wszelka znana nam zmysłowie rzeczywistość, bo prawdziwą, bezwzględną, niezmienną, niecofniętą. — Rzućmy okiem w świat, tam miljonami się tworzą i łamią olbrzymie formy materyi, każdej chwili we wszystkich punktach odegrywa się wielki dramat życia, mądry, głęboki ale niedoskonały, gdyż zmienia się ciągle i zmierza ku lepszemu. To, co drobna roślina uważa dla siebie za cel, jest dopiero środkiem względem wyższej istoty człowieka; ludzie są *środkiem* do wyższego celu—ludzkości.

Zgoła cele giną w celach, doskonałość rozwiązuje się dla wyższej doskonałości. Ostatnią instancyą w tym szeregu doskonałości jest idea, bezwzględność wszystkich rzeczy, najgłębszy punkt wszystkich celów i dążeń ogólnego życia. Dla tego idea ma i znaczącą i nierozłączną od siebie nazwę absolutnej (niezależnej). Nie ma ona przed sobą żadnego już celu, bo jest już w sobie spełnioną, doskonałą i dla tego równą sobie wiecznie; idea jest rzeczywistością i niewidzialnością zarazem. — Ktoby zapytał mędrca: „gdzież jest idea? wskaż ją" odpowiedzieć mu można równem zapytaniem: wskaż mi, gdzie jest świat?—bo to co masz przed oczyma, nie jest światem, lecz względnym tylko horyzontem twych zmysłów. Podobnież i idea—ten wyraz bóztwa, ta rozesłana wieczność żyjąca razem we wszystkiem, nigdzie zaś oddzielnie.

Idea, w wyrażeniu ludzkiem jest to *duch*, i to stanowi drugi ważny punkt jej określenia. Niejest to jednak duch zamknięty w granicach indywidualnego nieudolnego życia, ułomny, zależny; lecz duch absolutny, ogólny i nieskończony; tak wysoko pojmowanego, nie można stawiać na jednej szali *z naturą* i uważać jéj za drugą równoważną jemu potęgę. Jeżeli się mówi: *duch i natura*: w tem wyrażeniu, duch jest wzięty tylko w znaczeniu ograniczonego — indywidualnego ducha. Natura względem absolutnego ducha nie jest ani równą połową, ani granicą jego; jest jego przedmiotem, do jego pojęcia zostawionym.

Duch absolutny nie jest martwą siłą, lecz *działaniem*. Działanie jego zależy na tem, iż się sam od siebie rozróżnia — inaczej nie mógł by poznać siebie. Oko, powiada Descartes, nie widzi samo siebie, potrzeba aby się rozróżniło od siebie przez zwierciadło,

i poznało w tamtem drugiem, a jednak témże samém, *siebie*. Duch przegląda się w naturze i widzi tam siebie drugiego. Duch (ale absolutnie wzięty) jest pierwszem, natura drugiem; w filozoficzném następstwie idei, on stanowi (jako podmiot), natura jest ustanowionym przez ducha przedmiotem. Natura, uważana odrębnie, w empiryzmie swoim, jest czemś nie prawdziwém. Duch jest prawdą natury, on jest wewnętrznem znaczeniem tego, co natura przedstawia.

Podobnie, jak w zwierciadle natury, duch absolutny widzi siebie także w swojéj własnej, ograniczonej sferze, w czynach, pomysłach, utworach, w swoich namiętnościach. Poznaje on tu siebie wprawdzie — jak i w naturze — ale również nie całego siebie, nie swoję doskonałość absolutną; a więc widzi *przeczenie* siebie; przeczenie, bo nie jest on tem istotnie, absolutnie, jak tam się przedstawia: słaby, jednostronny, względny, — uległy wpływom klimatu, rassy, zwyczajom miejscowym, w granicach pewnych wyobrażeń zamknięty. Duch więc szuka swojéj absolutnéj istoty, swojej najwyższej doskonałości, zaprzeczonej (naturze i w indywidualnem życiu ludzkiem), i to dążenie ducha, raczej ten dopięty cel znalezienia siebie w utraconej koronie doskonałości niebiańskiej, stanowi ostatni z trzech momentów idei, które dla ogólnego zamknięcia powyższych rozumowań wskazujemy:

1. Idea w swej doskonałości pierwotnej, czyli idea absolutna.

2. Idea w rzeczywistości objawiona, niedoskonała, zaprzeczona.

3. Idea poznająca siebie napowrót, po zniesieniu zaprzeczenia.

Gdy idea objawia się — w celu znalezienia siebie napowrót — w pierwiastku myślenia, to stanowi filozofiią; jeżeli w formach przedstawienia, to daje początek religii, nakoniec idea objawiona w formach zmysłowych, stanowi sztukę.

SZTUKA UWAŻANA JAKO OBJAWIENIE IDEI.

Krainą sztuki jest królestwo absolutnego ducha, królestwo idei (bo duch i idea są tu jednoznaczne). Duch absolutny — czyli idea, nie jest *oderwaną* formułą umysłu ludzkiego, lecz żywą, konkretną, najwyższą rzeczywistością. Żyje idea, a moc jéj rozchodząca się wszechstronnie, jest bytem. *Idea jest całością swoich różni.*

To nowo przybywające określenie idei, — wyjaśni się następnem porównaniem: weźmy pod uwagę jaki przedmiot natury np. drzewo: drzewo przedstawia się naszym oczom, jako pewna budowa, nabierająca kształtu, koloru, wielkości, kwiatu i t. d. i innych cech, które są zjawiskami jego życia. Zjawiska te jednak, jakkolwiek wychodzące na zewnątrz, muszą mieć zródło wewnętrzne, muszą wynikać z utajonej wewnątrz potęgi, która ani w kolorze, ani w kształcie, ani w kwiecie nie jest zawartą, lecz która, przeciwnie, nadaje, wywołuje te cechy na zewnątrz — jest to *idea* (drzewa), jest to rzec można, wola organiczna, któréj ulegają kształty zewnętrzne, idea przechodząc tu w zewnętrzne formy (kwiatu i t. d.) wchodzi *w zaprzeczenie* siebie, ponieważ zewnętrzne, z idei wydobyte formy drzewa, nie są tu samą ideą, samą doskonałością, lecz stopniowo pokazującą się potęgą. Idea ta, przechodząc w formy — zaprzeczając się w nich, *nie ginie* jednak; owszem jest tu tąż samą ideą (liście, kwiat, kolor są tem samem drzewem), tylko w procesie pokazania siebie, rozróżnienia siebie przez swoją zewnętrzną przedmiotowość. Mamy więc dwa punkta: Jdeę i jéj zaprzeczenie; ideę w podmiocie, i ideę uprzedmiotowaną (wystawioną na zewnątrz); ideę w najczystszej jedności, i ideę w różnościach. Otóż idea jest całością tego procesu, jest zamkniętą (w podmiocie) i odemkniętą (w przedmiotowości) jednością samej siebie, *jest całością swoich różności*, jak wyżej powiedzieliśmy. Dla wyjaśnienia, przytoczym czytelnikowi jeszcze jeden obraz tego tajemniczego życia idei, na samym człowieku. Jstota człowieka jest duch, źródło działań, myśli i uczuć

i podmiot życia. Duch tedy jest *ideą*, która przez życie jest wyprowadzona na widownię—zjawiska życia są zaprzeczeniem idei, bo ona nie jest w nich całkowicie wykazaną, tylko *wykazuje się* dopiero momentami, stopniami: odsłania się. Więc idea życia ludzkiego jest całością wszystkich różności swoich; duch (czyli idea życia) jest kłębkiem, życie wysnutem jego pasmem. Jak kłębek z wątkiem są jednią i tożsamością wysnuwającéj się massy, tak idea z życiem, zaprzeczeniem swojém, tak idea absolutna z różnościami swemi. Obie te strony i tylko obie w połączeniu, są doskonałą idealnie —rzeczywistą całością; idea bez różności objawień swoich, zjawiska i formy bez idei, są urojeniem. Idea musi tu jeszcze być nazwana pojęciem; a jéj objawienie: rzeczywistością pojęcia. Pojęcie tylko, w połączeniu ze swoją rzeczywistością, jest prawdą.— Idea, zatajona w pojęciu, nie wysnuta w pasmo różności, jest czczą formułą umysłu, algiebraiczném znamieniem bez ważności i życia. Lecz i odwrotnie:

Wszelki byt, dla tego jest prawdziwym, że jest bytem idei, bo ona tylko jest prawdziwą rzeczywistością. Zjawiska wszelkie, wszystko to co się nam przedstawia, nie dla tego jest rzeczywistem, że ma byt (zewnętrzny lub wewnętrzny — np. ciało, uczucie i t. d.). lecz dla tego, że ta rzeczywistość odpowiada pojęciu, dla tego że się w niém pojęcie czyli idea realizuje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY.

Autorka *Książki Pamiątek*, pracuje teraz nad ostateczném wykończeniem drugiéj części *Jeografii*, czyli nad Jeografiją szczególną, która razem z ogólną stanowi dalszy ciąg: Wykładu nauk przeznaczonego do pomocy w domowém wychowaniu panien.